

O dziesiątej wieczorem zaczęli przybywać pierwsi goście.

Flotylla wynajętych autentycznych dżonek, zgodnie z orientalną tematyką przyjęcia, płynęła w dostojnej procesji. Na masztach powiewały sztandary z herbami największych europejskich rodów. Habsburgowie. Burbonowie. Sabaudowie. Liechtensteinowie. Sachsen-Coburgowie. Błękitnokrwisci, którzy woleli pozostać wierni Staremu Światu niż szukać nowej ojczyzny za oceanem.

Schuyler stała na warcie wraz z zastępem kelnerek czekających wzdłuż schodów. Miała nadzieję, że wygląda po prostu jak jedna z bezimiennych kukielek. Każda z nich trzymała inny poczęstunek: różowy cosmopolitan w kieliszkach do martini, puchary z najlepszym burgundem i bordeaux z należącego do gospodyni winnic w Montrachet, a dla abstynentów woda mineralna z plasterkami cytryny. Na ciężkiej tacy Schuyler stały smukłe kieliszki szampana, pełne jasnozłoty bąbelków. Słyszała trzepoczące na wietrze liczne żagle. Niektóre dżonki naśladowały wyglądem smocze łodzie, ozdobione pozłacanymi łuskami i głowami o przejrzystych, szmaragdowych oczach. Inne przerobiono na „okręty wojenne”, a z ich burt wystawały barwne „armaty”. Ogromna królewska parada, jednocześnie zbyt kowna i piękna. Zauważyła coś jeszcze: herby na sztandarach poruszały się, zmieniając w zależności od światła, przekształcając się w płynnym tańcu kształtów i barw.

– Widziałas? – zwróciła się do stojącej obok dziewczyny.

– Co niby? Bogaczy w obciachowych łódkach? – parsknęła kelnerka, patrząc na nią z powątpiewaniem. W tym momencie

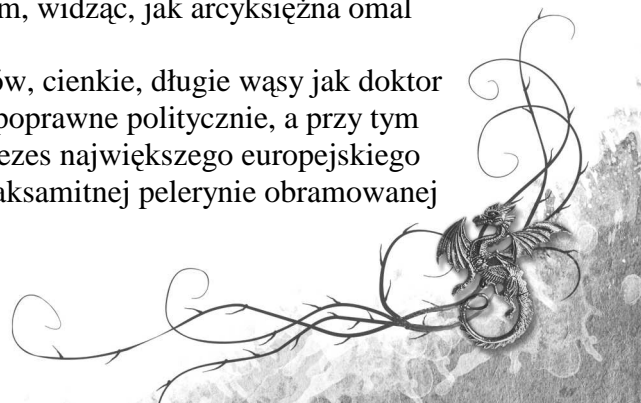
Schuyler uświadomiła sobie, że lśniące symbole są widoczne tylko dla obdarzonych wampiryzm wzrokiem. To były *sigule* błękitnokrwistych, pochodzące ze świętego języka.

Omali się nie zdradziła, ale na szczęście nikt niczego nie zauważył.

Jej wargi zdrząły, poczuła, jak całe jej ciało sztywnieje, kiedy goście zeszli na nabrzeże i zbliżyli się do kelnerek. Co będzie, jeśli ktoś ją rozpozna? Jeśli na przyjęcie zawita ktoś ze Zgromadzenia Nowojorskiego? Co wtedy? Szaleństwem było sądzić, że jej i Oliverowi może się udać coś takiego. Przecież na pewno pojawią się venatorzy. Jeśli ktokolwiek spośród błękitnokrwistych rozpozna ją, zanim zdąży przedstawić swoją prośbę hrabinie, nie będzie miała najmniejszych szans. Co wtedy się z nimi stanie? Bała się nie tyle o siebie, ile o Olivera. Obawiała się tego, co wampiry mogą zrobić z zausznikiem, którego istnienia sobie nie życzą.

Należało mieć nadzieję, że goście pozostaną równie obojętni, jak wyglądają – kolejna porcja goniącej za przyjemnościami śmietanki towarzyskiej, jak to zauważyła jej koleżanka z pracy. To, że byli nieśmiertelni, nie znaczyło, że nie cieszyli się drobiazgami. Schuyler starała się nie gapić na kobiety, z których większość wyglądała jeszcze bardziej fantastycznie od łódek. Damy były przebrane za japońskie gejsze z upudrowanymi białą twarzami i w kolorowych kimonach, chińskie cesarzowe w ozdobionych frędzlami, szpiczastych, czerwono-złoty nakryciach głowy, lub perskie księżniczki z prawdziwymi klejnotami przylepionymi na czołach. Znana z ekstrawaganckiej garderoby niemiecka znakomitość przebrała się za pagodę – ciężki, metalowy kostium nie pozwalał jej chodzić ani usiąść przez cały wieczór. Wytoczyła się z łodzi na wózku elektrycznym, a Schuyler zapomniała na moment o zdenerwowaniu i omali nie wybuchnęła śmiechem, widząc, jak arcyksiężna omali nie skosiła grupy kelnerek niosących bliny z kawiozem.

Mężczyźni mieli na sobie mundury carskich oficerów, cienkie, długie wąsy jak doktor Fu Manchu oraz turbany. Wszystko to było całkowicie niepoprawne politycznie, a przy tym niesamowicie wspaniałe i anachroniczne. Jeden z gości, prezes największego europejskiego banku, wytoczył się z łodzi w ogromnej futrzanej czapie i aksamitnej pelerynie obramowanej



wilczurą. W sierpniu! Musiał niemal dusić się w upale, ale – podobnie jak dama w pagodzie, która nie mogła siedzieć – cierpiał, żeby zostać zauważonym. Schuyler miała nadzieję, że to cierpienie mu się opłacało.

Wśród zgromadzonych krążyli także familianci, których zdradzały małe, dyskretne blizny u nasady szyi. Poza tym byli równie odświętnie przyodziani i praktycznie nieodróżnialni od wampirów.

Nocne powietrze było czyste i balsamiczne. Z rotundy dobiegały dźwięki cytr, charakterystyczne, wysokie zawodzenie – a kolejka dżonek czekających, by wysadzić na brzeg wystrojonych pasażerów, cały czas rosła. Wepchnęło się w nią kilka motorówek, wiozących błękitnokrwistą młodzież w kostiumach znacznie śmielszych niż stroje starszego pokolenia. Jedna z dziewcząt, córka rosyjskiego ministra finansów, miała na sobie tylko metalowe taśmy i udrapowany strzęp czarnego szyfonu. Inna wysmukła nimfa nosiła półprzezroczystą kolczugę. Oczywiście chłopcy wystroili się w czarne jedwabie skrytobójców ninja lub zbroje samurajskie z ozdobnymi katanami.

Kiedy jej taca się opróżniła, Schuyler ruszyła z powrotem.

Po drodze rzuciła okiem na piętro i zobaczyła Olivera przygotowującego turkusowe koktajle ozdobione syczącymi zimnymi ogniami.

Skinął jej głową, więc wiedziała, że ją zauważył. Rzuciła tacę w jakiś ciemny kąt i szybko przeszła przez główny hol do zagrodzonej linami części mieszkalnej. Tu właśnie ona i Cordelia zatrzymywały się podczas dawnych wizyt. Łazienka mieściła się po prawej stronie, za freskiem przedstawiającym porwanie Sabine.

Nikogo w niej nie było. Schuyler zamknęła drzwi na klucz i wzięła głęboki oddech. Pierwszy krok planu miała za sobą.

Udało im się wkręcić na przyjęcie. Teraz przyszedł czas na krok drugi.

Rozpuściła włosy i zrzuciła kolejne warstwy stroju kelnerki. Wyjęła spod umywalki mały plecaczek, który wcześniej tam schowała. Wyciągnęła jego zawartość i przebrała się w sari z lśniącego, różowego jedwabiu, ozdobionego brylancikami. Oliver pomógł jej wybrać je w sklepie w 10. *arrondissement*. Uparł się, żeby je kupić, mimo że było nieprzyzwoicie drogie.

Jedwab ułożył się elegancko na jej nagich ramionach, a intensywny róż ładnie kontrastował z długimi, kruczoczarnymi włosami. Przejrzała się w lustrze. Była szczuplejsza niż kiedykolwiek: brak snu i poczucia bezpieczeństwa zmieniłyby w ten sposób każdego. Jej kości policzkowe, zawsze wystające, były teraz jeszcze bardziej uwydatnione, jak krawędź ostrza. Intensywna barwa sari udzieliła się jej policzkom, a klejnoty migotały w świetle. Wciągnęła brzuch, chociaż jej kości biodrowe wystawały wyraźnie nad przynależnymi do stroju luźnymi szarawarami.

Z plecaka wyjęła także małą kosmetyczkę i zaczęła nakładać makijaż. Upuściła puderniczkę na podłogę i dopiero w tym momencie zauważyła, że jej ręce znowu drżą.

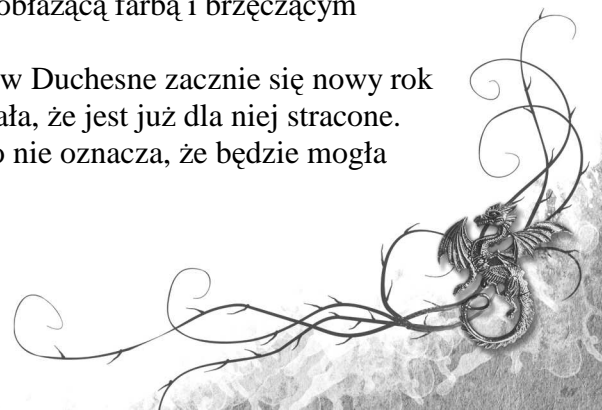
Nie była na to gotowa. Ile razy próbowała zastanowić się nad tym, co zamierza zrobić i o co poprosić, zaczynała się dusić.

Co będzie, jeśli hrabina odeśle ją z kwitkiem? Nie może uciekać całą wieczność, prawda?

Jeśli hrabina nie udzieli im audiencji, nie będą mieli dokąd iść.

Ponad wszystko Schuyler pragnęła wrócić do domu. Chciała być w miejscu, w którym mieszkali jej dziadkowie. Z powrotem w małej sypialni z obłazącą farbą i brzęczącym grzejnikiem.

Straciła już cały rok nauki. W przyszłym miesiącu w Duchesne zacznie się nowy rok szkolny. Chciała wrócić do tamtego życia, chociaż wiedziała, że jest już dla niej stracone. Nawet jeśli Zgromadzenie Europejskie udzieli jej azylu, to nie oznacza, że będzie mogła wrócić do Nowego Jorku.



Na zewnątrz zespół grał Thriller Michaela Jacksona z towarzyszeniem muzyki bhangra i cymbałów. Wepchnęła zwinięty w torbie strój kelnerki do kosza na śmieci, a potem wyszła z łazienki, prześlizgując się przez pluszowe liny.

– Szampana? – zaproponowała kelnerka. Na szczęście nie pamiętała Schuyler ze wspólnej podróży autokarem.

– Nie, dziękuję – odmówiła Schuyler.

Przebrana za hinduską księżniczkę ruszyła w stronę schodów. Niosła głowę wysoko, chociaż jej gardło ścisnęła strach. Była gotowa na spotkanie tego, co miała przynieść ta noc, miała tylko nadzieję, że nie będzie musiała czekać zbyt długo.

- Popatrzcie tylko – mruknął Oliver, podchodząc od tyłu i kładąc ciepłą dłoń na odsoniętym biodrze Schuyler. Odwróciła się ku niemu z lekkim uśmiechem i położyła rękę na jego dłoni, tak że praktycznie znalazła się w jego ramionach. Cokolwiek wydarzy się dzisiaj, mieli w każdym razie siebie nawzajem. Dla obojga było to wielkim pocieszeniem.

– Ty też nieźle wyglądasz – odparła. Oliver nosił strój mongolskiego księcia, ozdobiony złotym brokatem kaftan do jazdy konnej i biały turban na jasnobrażowych włosach.

W odpowiedzi Oliver podniósł jej ozdobioną klejnotami dłoń i przycisnął do ust, aż poczuła rozkoszny dreszcz. Jej przyjaciel i familiant. Stanowili drużynę. Niepokonani jak Los Angeles Lakers – pomyślała Schuyler. Kiedy się denerwowała, zawsze przychodziły jej do głowy głupie dowcipy.

– Co to? – Poczuła, że Oliver wkłada jej coś w dłoń.

– Znalazłem to wcześniej w ogrodzie – pokazał jej zgniecioną czterolistną koniczynkę.

– Na szczęście.

*Nie potrzebuję szczęścia, mam ciebie* – chciała powiedzieć, ale wiedziała, że Oliver uzna takie słowo za pretensjonalne. Wzięła więc koniczynę i wsunęła ją w sari.

– Zatańczymy? – zapytał, kiedy umilkły dźwięki bhangra popu, a orkiestra zaczęła grać Norwegian Wood Beatlesów, w rytmie walca.

Wyprowadził ją na środek parkietu w wielkiej sali balowej, przylegającej do dziedzińca. Salę ozdabiały girlandy chińskich lampionów, delikatnych, rozświetlonych kul, wyglądających nie na miejscu na tle klasycznej architektury francuskiej. Niewiele osób tańczyło, a Schuyler niepokoiła się, że mogą wyglądać podejrzanie, młodszy o kilkadziesiąt lat od innych par na parkiecie.

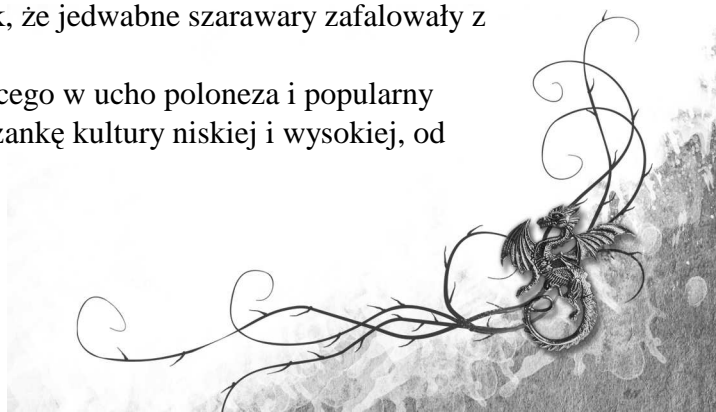
Ale zawsze uwielbiała tę piosenkę, będącą nie tyle piosenką miłosną, ile jej przeciwieństwem. *I once had a girl, or should I say, once she had me*. I była zachwycona tym, że Oliver chce zatańczyć. Wyciągnął ramiona, a gdy podeszła do niego, opierając mu głowę na ramieniu, objął ją w tali. Żałowała, że nie mogą tańczyć przez cały wieczór. Tak miło było cieszyć się chwilą, jego bliskością, udawać przez moment, że są tylko dwojgiem zakochanych i nikim poza tym.

Oliver prowadził ją gładko i pewnie przez kolejne tańce – zawdzięczał to obowiązkowym lekcjom tańca towarzyskiego organizowanym przez jego mającą obsesję na punkcie etykiety matkę. Schuyler czuła się pełna wdzięku jak balerina.

– Nie wiedziałam, że umiesz tańczyć – uśmiechnęła się.

– Nigdy nie pytałaś – odparł, obracając ją tak, że jedwabne szarawary zafalowały z wdziękiem wokół jej kostek.

Przetańczyli jeszcze dwie piosenki – wpadającego w ucho poloneza i popularny przebój rap. Muzyka stanowiła schizofreniczną mieszankę kultury niskiej i wysokiej, od



Mozarta do M.I.A. i od Bacha do Beyoncé. Schuyler zaczęła się naprawdę dobrze bawić. A potem muzyka nagle ucichła, więc obejrzelisię, by sprawdzić, co jest tego przyczyną.

– Hrabina Paryża, Izabela Orleańska – zaanonsował dyrygent, a do sali wkroczyła imponująca, piękna mimo zaawansowanego wieku kobieta o czarnych jak węgiel włosach i królewskiej postawie. Była przebrana za Królową Saby, z diademem ze złota i lapis-lazuli. Na grubym złotym łańcuchu prowadziła czarną panterę w wysadzonej brylantami obroży.

Schuyler wstrzymała oddech. A więc to była hrabina. Perspektywa proszenia tej kobiety o azyl wydała jej się nagle jeszcze bardziej ryzykowna niż do tej pory. Spodziewała się pulchnej starszej pani, może nawet trochę zaniedbanej – staruszki w pastelowej garsonce i ze stadem corgi. Ale ta dama była wyrafinowana i szykowna, wydawała się odległa i niedostępna niczym bogini. Dlaczego miałby ją obchodzić los Schuyler?

Ale może mimo wszystko hrabina tylko sprawia wrażenie władczej i nieprzystępnej. Ostatecznie to przyjęcie nie było dla niej przyjemne. Schuyler zastanawiała się, czy hrabina odczuwa smutek z powodu utraty domu. Hôtel Lambert od pokoleń stanowił własność jej rodziny. Schuyler wiedziała, że ostatni globalny kryzys finansowy dotknął nawet największe rody i najbogatsze rodziny. Majątek Hazard-Perrych okazał się dobrze zainwestowany: Oliver powiedział jej, że wycofali się z giełdy na długo przed krachem. Ale Schuyler słyszała, że na całym Upper East Side trwały licytacje biżuterii, wycena dzieł sztuki i likwidacja portfeli. Tak samo było w Europie. Żaden z błękitnokrwistych rodów nie mógł pozwolić sobie na zakup pałacu Hôtel Lambert. W grę wchodził jedynie koncern.

Hrabina pożegnała gestem zgromadzonych w sali balowej gości, którzy odpowiedzieli gromkimi oklaskami. Schuyler i Oliver bili brawo tak samo gorliwie, jak wszyscy. A potem Izabela opuściła salę, muzyka znowu zabrzmiała, a napięcie opadło.

Dało się słyszeć zbiorowe westchnienie ulgi.

– Więc co powiedział baron? – zapytała Schuyler, gdy Oliver prowadził ją w tańcu na bok sali.

Baron de Coubertin był sługą hrabiny i jej osobistym zausznikiem, tak jak Oliver był zausznikiem Schuyler. Anderson powiedział im, że audiencja u hrabiny będzie możliwa tylko za jego wstawiennictwem. On był kluczem do wysłuchania ich prośby – bez jego zgody nie zdołają się nawet zbliżyć do hrabiny. Plan zakładał, że Oliver przedstawi się mu, kiedy tylko baron pojawi się na przyjęciu, zatrzymując go zaraz po zejściu z łodzi.

– Niedługo się przekonamy – Oliver wyglądał na pełnego obaw. – Nie oglądaj się. Właśnie do nas idzie.

Baron de Coubertin był ubrany w pełną zbroję bojową Huna Attyli, z łukiem i kołczanem strzał przewieszonym przez ramię, a także tarczą i włócznią. Na głowie miał perukę z długimi, czarnymi włosami i szpiczasty hełm. Nosił też fałszywą brodę. Zbliżył się do nich z przerażającym grymasem na twarzy i poklepał Schuyler po ramieniu.

– La contesse voudrait que vous me suiviez, s'il vu plait. – Hrabina prosi, aby pani udała się ze mną.

Obrócił się na pięcie. Schuyler i Oliver ruszyli za nim, ale baron ich zatrzymał.

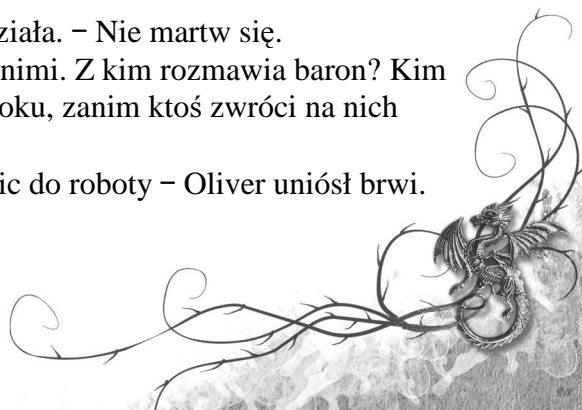
– Hrabina spotka się jedynie z panną Van Alen – powiedział perfekcyjnym angielskim, patrząc surowo na Olivera, jakby stanowił zawadę. – Pan zostanie tutaj.

Schuyler skinęła głową, tłumiąc protesty Olivera.

– Nic mi nie będzie. Potem się spotkamy – powiedziała. – Nie martw się.

Czuła spojrzenia innych gości, oglądających się za nimi. Z kim rozmawia baron? Kim jest ta dwójka? Stawali się podejrzani. Musieli zejść z widoku, zanim ktoś zwróci na nich uwagę.

– Mam się nie martwić? Ale wtedy nie będę miał nic do roboty – Oliver uniósł brwi.



– Poradzę sobie – zapewniła go Schuyler.

– Właśnie o to się martwię – westchnął Oliver. Ścisnął jej odsłonięte ramię. Jego ręce były szorstkie i pokryte odciskami po roku podróży i pracy. To nie były delikatne dłonie chłopaka, który spędzał kiedyś całe popołudnia w muzeach. Oliver, jakiego znała Schuyler, nigdy w życiu nie zatrzymywał się w hotelu gorszym niż pięciogwiazdkowy, nie wspominając o podrzędnych hotelikach, w jakich obecnie mieszkali. Widziała, jak spierał się o cenę chińskiej zupki w Szanghaju, targując się o pięć centów.

– Nic mi nie będzie – zapewniła. I wyszeptała cicho, tak aby baron nie usłyszał: – Mam przecucia, że tylko tak mogę się zobaczyć z hrabiną.

– Daj mi z nim jeszcze pogadać, może go przekonam – szepnął Oliver, wodząc wzrokiem od barona do Schuyler. – Gdyby coś się stało...

– Nie będziesz mógł sobie tego wybaczyć – skończyła za niego Schuyler. Delikatnie odsunęła jego rękę. – Ja też się boję, Ollie. Ale zgodziliśmy się, że musimy to zrobić.

Oliver zgrzytnął zębami.

– Nie podoba mi się to – powiedział, patrząc z wściekłością na barona. Ale pozwolił jej odejść. Schuyler w ślad za baronem przeszła z dziedzińca do głównego holu pałacu. Poprowadził ją przez amfiladę – szereg komnat leżących w jednej linii, do biblioteki i dalej, przez sale bankietowe.

Na końcu długiego korytarza otworzył drzwi do antyszambra i wpuścił ją do środka. Było to niewielkie pomieszczenie, wykładane złotą mozaiką i puste, jeśli nie liczyć obitej czerwonym pluszem ławy na środku.

– Arrête. – Poczekaj.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Schuyler rozejrzała się. Na przeciwległej ścianie dostrzegła drugie drzwi, prowadzące zapewne do gabinetu hrabiny. Mogła wyczuć zabezpieczenia, strzegące tego miejsca. Drogi wyjścia stanowiły wyłącznie dwie pary zaryglowanych drzwi. Jedną z lekcji, udzielonych jej przez Lawrence'a, było wyczuwanie niewidzialnych zabezpieczeń w otoczeniu i znajdowanie sposobów na ich obejście. Jej dziadek mawiał, że ucieczka zależy w dziewięćdziesięciu procentach od przygotowań i w dziesięciu procentach od szczęścia.

Schuyler miała wrażenie, że już od godziny siedzi sama w małym pomieszczeniu. Pokój był całkowicie izolowany od zewnętrznych dźwięków. Nie dochodziły jej żadne odgłosy przyjęcia.

W końcu drzwi się otworzyły.

– Baron de Coubertin? – zapytała.

– Pudło – usłyszała boleśnie znajomy głos.

Nie. To niemożliwe. Schuyler poczuła, że ogarnia ją paraliż. Zupełnie jakby przeszłość postanowiła sobie z niej zakpić. Ktoś wymyślił niesmaczny dowcip. To niemożliwe, żeby on był tutaj.

Jedyna osoba w Nowym Jorku, o której tak bardzo starała się zapomnieć...

Jack Force wszedł do środka. W odróżnieniu od pozostałych gości był ubrany skromnie, w czerni. Strój venatora. Krótkie, po wojskowemu ścięte, platynowe włosy dodatkowo podkreślały jego arystokratyczne rysy. Poruszał się z naturalnym wdziękiem, jak drapieżnik okrążający swoją ofiarę. Zapomniała już, jaki jest przystojny. A może tylko wmawiała sobie, że zapomniała.

Nie widzieli się od ostatniego spotkania w apartamencie przy Perry Street. Od wieczoru, kiedy powiedziała mu, że kocha innego. Jakież ból sprawiał jej teraz widok jego przystojnej twarzy, tak surowej i poważnej, jakby przez ten rok postarzał się o całe życie!



Ból był niemal fizyczny, stłumiona tęsknota uderzyła ją z nową siłą, nagle rozpalając się znów do czerwoności. Niemożliwe pragnienie, dziura w jej sercu, błagająca o wypełnienie.

Nie. Przestań. Nie wracaj do tego. Była wściekła na siebie za to uczucie. Nie chciała go, nie chciała być nielojalna wobec życia, jakie wiodła przez rok i zdradzać tego, co ona i Oliver razem zbudowali.

Gdyby tylko mogła zrobić coś ze swoim sercem. Bijącym gwałtownie, zdradzieckim sercem. Ponieważ jedno czego w tej chwili pragnęła to rzucić się w ramiona Jacka.

– Jack – powiedziała, tracąc oddech. Nawet wypowiedzenie jego imienia sprawiało jej trudność. Czyżby aż tak bardzo pragnęła zobaczyć go znowu? Bóg świadkiem, że próbowała przestać o nim myśleć, zepchnęła wszystkie wspomnienia do najciemniejszego zakamarka swojej pamięci.

Ale Jack pozostał: w snach wracała zawsze do apartamentu nad miastem, do miejsca przy kominku. Nie można walczyć ze snami, prawda? To nie była jej wina. To tylko irytujące przyzwyczajenie. Niezależnie od tego, czego chciała, podświadomie ciągnęło ją do niego.

Zobaczyć go żywego, oddychającego, tuż przed sobą, odebrała jak bezpośredni cios we wszystko, czego starała się trzymać przez ten ponad rok na wygnaniu. Wmawiała sobie, że jej miłość do niego jest martwa i została pogrzebana, zamknięta we wrzuconej na dno oceanu skrzyni, która nie miała już nigdy zostać otwarta. Kochała Olivera. Byli tak szczęśliwi, jak tylko można w ich sytuacji. To nie ona powinna kochać Jacka, ani teraz, ani nigdy. Cokolwiek znaczyli dla siebie, przestało istnieć. Stał się dla niej kimś obcym.

Poza tym był już połączony więzią ze swoją wampirzą bliźniaczką, ze swoją siostrą, Mimi. Nie miało znaczenia, czy Schuyler nadal – niestety – czuje coś do niego. To się już nie liczyło.

Związał się z inną. Ona była dla niego nikim, podobnie jak on dla niej.

– Co tu robisz? – zapytała, ponieważ patrzył w milczeniu, nawet gdy wypowiedziała jego imię.

– Przyjechałem po ciebie – odparł, zaciskając ponuro usta. W tym momencie Schuyler zrozumiała. Jack został przysłany przez Radę. Był tutaj, żeby zabrać ją z powrotem do Nowego Jorku. Do aresztu. Miał ją doprowadzić przed oblicze inkwizytora, żeby wysłuchała wyroku. Winna czy niewinna, to nie miało znaczenia, wiedziała, jaki będzie wyrok – zwrócili się przeciwko niej. Jack był teraz jednym z nich. Członkiem Rady. Wrogiem.

Schuyler wycofała się pod przeciwległą ścianę, do drugich drzwi, chociaż wiedziała, że to nic nie da. Zabezpieczenia tego miejsca oznaczały, że jedyna droga ucieczki biegła w górę. Będzie musiała spróbować – odbić się od ściany i skoczyć dostatecznie wysoko, aby przebić się przez szkło.

Jack zauważył, że rzuciła okiem na sklepienie.

– Zniszczysz ten pokój, jeśli tego spróbujesz.

– A co on mnie obchodzi?

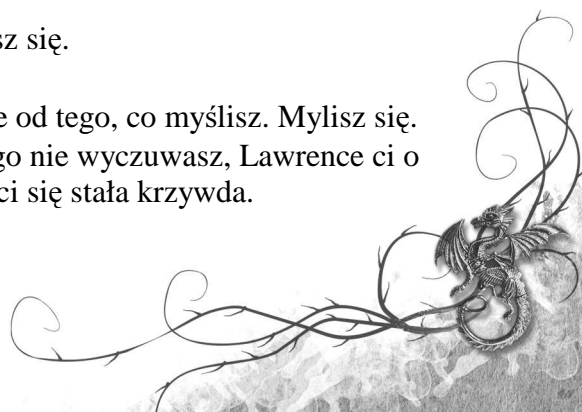
– Myślę, że cię obchodzi. Myślę, że kochasz Hôtel Lambert tak samo, jak ja. Nie ty jedna bawiłaś się kiedyś w tych ogrodach.

Jasne, Jack na pewno był tu wcześniej. Jego ojciec był przecież Regisem. Force'owie prawdopodobnie zatrzymywali się w tych samych komnatach gościnnych, co ona i Cordelia. Ale co z tego?

– Zrobię to, jeśli nie będę miała wyjścia. Przekonasz się.

Jack zrobił krok w jej stronę.

– Nie jestem twoim wrogiem, Schuyler, niezależnie od tego, co myślisz. Mylisz się. Tędy się nie wydostaniesz. Jest tam zabezpieczenie, którego nie wyczuwasz, Lawrence ci o nim nie mówił. Rozbijesz się o szybę. A ja nie chcę, żeby ci się stała krzywda.



– Nie?

– Nie masz wyboru. Chodź ze mną, Schuyler, proszę. – Jack wyciągnął rękę. Jego lśniąca, zielona jak szkło oczy stały się nagle łagodne, proszące. Nieprzystępny wyraz jego twarzy zniknął całkowicie. Wyglądał na wrażliwego i zagubionego. Tak samo patrzył na nią tamtego wieczora. Kiedy poprosił ją, żeby została.

Odpowiedziała to samo, co wtedy.

– Nie.

Zanim jeszcze zaczerpnęła oddechu, zerwała się do biegu, rozmywając w różową smugę na złotej ścianie, a potem rzuciła się górę, przebijając szklany dach i zasypując marmurową posadzkę deszczem kryształowych odłamków. W jednej chwili było po wszystkim.

Mylił się. Znała zakłęcie otaczające to miejsce i znała odpowiednie przeciwzakłęcie. Contineo i Frango. Lawrence był starannym nauczycielem. Przynajmniej pod tym względem go nie zawiodła.

Wybacz, Jack, ale nie mogę wrócić do tego, co było.

Nigdy.

A potem rozplynęła się w nocy.



premiera: 22 września 2010

